

Teatr to niepewny i niedochodowy interes, ale przynosi wiele radości

Wkładam wszędzie nos



FOT. PIOTR MANASTERSKI

Z KRYSYNA JANDĄ, aktorką, założycielką i dyrektorką warszawskiego Teatru Polonia rozmawia Beata Jajkowska

- Pomyślę się, jeśli powiem, że większą przyjemność niż futro z norek sprawiłoby pani teraz pozwolenie na rozbudowę prywatnego teatru Polonia w Warszawie?

- Oczywiście. Dla mnie w tej chwili sprawa skończenia budowy, łącznie z rozbudową dużej sceny teatru, jest naprawdę najważniejszą rzeczą. A futro z norek chętnie bym sprzedała, żeby dołożyć do budowy, już próbowałam je spieniężyć, ale nie ma amatorów, bo chyba nie ma dziś rzeczy w gorszym guście niż futro z norek.

- Gdy dwa lata temu kupiła pani to upadłe kino i powiedziała, że stworzy tam prywatny teatr, ludzie zastanawiali się, po co to pani. Gdyby cofnąć czas, stała by pani jeszcze raz do przetargu o tę ruinę?

- Szczęśliwie nie wiedziałam, co mnie czeka, bo gdybym wiedziała, dzisiaj pewnie bym się wahała. Ale cieszę się, że nie wiedziałam...

- By otworzyć ten teatr sprzedała pani dom w Warszawie i zainwestowała rodzinne oszczędności. Warto było?

tutowy fundacji, a jak wiadomo fundacja musi „wyjść na zero”, co przy czterech, pięciu produkcjach teatralnych rocznie będzie prawdziwym wyczynem i sukcesem.

- Ile do tej pory ten teatr kosztował?

- A czy musimy o tym mówić? To wiadomo do specjalistycznej zajmującej się pieniędzmi gazety?

- W takim razie, ile jeszcze potrzeba, by doprowadzić teatr do takiego stanu, jaki sobie pani wymarzyła?

- Jeszcze trochę... Wyposażenie kosztuje dużo. Pewnie wiecznie trzeba nam będzie czegoś nowego, przy każdej nowej produkcji. Budujemy i wykańczamy najtaniej i najskromniej, jak się da. Funkcjonalnie, prosto, bez luksusów. Zresztą teatr, o jakim myślę, nie jest dla ludzi, którzy przychodzą się rozsiąść w fotelu i postawić nogę na dywanie. Kiedy publiczność na początku narzekała na nasze pierwsze krzesła na małej scenie, kupione po 28 złotych, bo na tylko takie nas było stać, mówiłam im, że na dużej będą podobne, bo nie o to chodzi, by siedzieć wygodnie, tylko o to, żeby zapomnieć na czas spektaklu o drobiazgach.

- Nie jest łatwo zbudować dom, ale z teatrem pewnie jeszcze trudniej. Ale w pani przypadku nazwisko Janda pewnie otwierało wszystkie drzwi?

- Zarabia już, nie przynosi zysków i nie zarabia wystarczająco, aby pokryć wszystkie koszty stałe i nowe produkcje. Ale wiemy już dziś, że jak otworzymy dużą salę, utrzyma się. Ludzie przychodzą, kupują bilety, publiczności jest z nami dobrze i deklarują dalej być z nami. A włożone pieniądze? Ich odzyskanie? Nie wiem, to są jednak chyba za duże pieniądze, by się zwróciły za mojego życia... Zresztą... stworzyłam nowe miejsce w Warszawie, miejsce pracy i pole do spełniania marzeń artystycznych dla wielu, nie tylko dla siebie.

- Repertuar, który pani proponuje nie jest łatwą komercją. Na małej scenie wystawia pani kobiecą literaturę środkowoeuropejską, związaną z wojną, mediami, komunizmem, wyzwoleniem. Dotowane teatry często narzekają na nadmiar wolnych miejsc...

- ...bo tam jest czasem nudno! Wystawiamy trudną literaturę, ale w każdej z tych sztuk jest jakiś „hak”, coś co publiczność przyciąga. Albo jest to Kasia Figura, która gra świetnie, albo to „Darkroom”, gdzie opowiada się historię przyjaźni dziadka z Radia Maryja i geja, albo Ewa Kasprzyk, bardzo lubiana przez publiczność, teraz Natasha Brook, która prowadzi próby do „Trzech sióstr” Czechowa w bardzo interesującej obsadzie

- Albo widz zagra sam, bo dostanie od pani fragment roli i musi wyjść na scenę?

- No właśnie, choćby mój „Skok z wysokości”. Okazuje się, że publiczność lubi interaktywny teatr, bardzo chętnie daje się w to wciągać. A tak się bałam tego przedsięwzięcia. 27 widzów dostaje rolę i „gra” razem ze mną. Te wieczory są szampańskie.

- A jeśli jednak nagle się okaże, że ta inwestycja panią przerasta - to sprzeda pani teatr?

- Fundacja Krystyny Jandy na Rzecz Kultury, jak każda fundacja, podlega i rządzi się ściśle określonymi przepisami prawnymi. To zawsze będzie teatr fundacji, a sala, która jest co prawda moją i mojej rodziny własnością, jest łącznie z wpisem w księgach przeznaczona na działalność teatru. Ministerstwo i instytucje

rozpatrujące dotacje dla nas zażądali takich dokumentów i gwarancji. Nie zrobię z niego ani supermarketu, ani nie sprzedam. Jeśli nie wyjdzie, poprowadzi ten teatr ktoś inny, a ja będę tylko prezesem fundacji, jak i teraz.

- Gwiazda, taka jak pani, powinna już odcinać kupony od tego, co osiągnęła w życiu, a pani zawija rękawy i idzie do robotników, by doglądać, jak mieszają zaprawę murarską.

- Nie, to mój mąż idzie sprawdzić, jak to się miesza. To mój mąż prowadzi remont i buduje ten teatr. Mam świetnego dyrektora teatru, pana Romana Osadnika, to on z kolei prowadzi, organizuje prace w tym teatrze i wszystko, co jest związane z produkcjami i organizacją. Ja zajmuję się stroną artystyczną, ale mój temperament nie pozwala mi nie wkładać nosa wszędzie, łącznie z gruszką, w której się miesza beton. To taka natura, taka karma, jak mówię w jednej z ról. Jedni coś robią, inni odcinają kupony, a jeszcze inni nie robią nic. A poza tym nie chcę marnować moich ostatnich zawodowych lat, chcę żyć interesująco, jestem w świetnej formie. Zawsze byłam aktorką, która pracuje świadomie. Zawsze wiedziałam, co chcę grać, jak chcę grać i dlaczego chcę grać. Ostatnio miałam różne przygody artystyczne, także jako reżyser. Zrobiłam ten teatr także po to, by odzyskać poczucie godności.

- Odzyskała pani?

- Tak. Choć mam wiele kłopotów. Cieszę się z tego teatru jak dziecko. Gra w nim wiele młodzi, powstają rzeczy, które podobają się publiczności. Jestem zadowolona, choć nie ukrywam, że nie jest to wszystko łatwe, szczególnie teraz, kiedy remont zajmuje dużą część czasu, wysiłku i pieniędzy.

- Kiedyś marzyła pani, by kupić dom w Toskanii i tam osiąść. Co zostało z tych marzeń?

- Gdy zdecydowałam się na teatr, wiedziałam, że tracę tę szansę i się z tym pogodziłam.

Jedni coś robią, inni odcinają kupony, a jeszcze inni nie robią nic. Nie chcę marnować moich ostatnich zawodowych lat, chcę żyć interesująco, jestem w świetnej formie.

- Nie potrafię odpowiedzieć. Teatr nie jest opłacalny, bo nie może być przy tak małej widowni, a my przecież nie mamy żadnej dotacji. Utrzymujemy się i produkujemy nowe rzeczy z wpływów z biletów. W tak krótkim czasie teatr zyskał jednak renomę, jest o nim głośno, ma już swoją wierną i gotową na wszystko publiczność i przynosi wiele, wiele radości. A finansowo? No przecież wszyscy wiedzą, i ja wiedziałam, że teatr to niepewny i niedochodowy interes generalnie. Gdybym myślała o tym wszystkim jak o interesie, otworzyłabym spółkę z o.o. a utworzyłam fundację. Fundacja prowadzi teatr, to główny cel sta-

- Pracuję 30 lat w tym zawodzie, jestem aktorką rozpoznawalną i kojarzącą z sukcesem artystycznym, lubianą. Okazuje się, że do jakiegokolwiek biura, urzędu, magazynu, sklepu, firmy, bym nie przyszła, zawsze znajdzie się ktoś, kto widział mnie w teatrze lub w filmie i... albo się wzruszył lub śmiał, albo go zdenerwowałam w jakiejś roli. W gruncie rzeczy wszędzie jest ktoś, kto stara mi się ułatwić zadanie, pomóc, doradzić. A czasem trafiam na kogoś, komu naprawdę jakąś rolę ukradłam serce i to dopiero jest „przyjemność”.

- Kiedy teatr zacznie na siebie zarabiać?